



Nagroda  
Goncourtów 2010

MICHEL HOUELLEBECQ  
mapa i terytorium



**MICHEL HOUELLEBECQ**  
mapa i terytorium

**Michel Houellebecq** (ur. 1958) jest autorem esejów, czterech tomów wierszy, a przede wszystkim powieści, będących radykalną krytyką współczesnej cywilizacji. Pierwsza z nich, *Poszerzenie pola walki* (1994; W.A.B. 2005), przyniosła autorowi rozgłos i doczekała się ekranizacji. Druga, *Cząstki elementarne* (1998; W.A.B. 2003), choć podzieliła krytyków francuskich na dwa skrajne obozy, została uznana we Francji za najlepszą książkę roku; w 2002 roku zdobyła międzynarodową IMPAC Dublin Literary Award, a wkrótce potem na jej podstawie w Niemczech powstał film Oskara Roehlera. Kontrowersje wzbudziła również *Platforma* (2001; W.A.B. 2004). W Polsce ukazały się ponadto esej *H.P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu* (1991; W.A.B. 2007) oraz powieść *Możliwość wyspy* (2005; W.A.B. 2006), której wersję filmową wyreżyserował sam Michel Houellebecq. Za najnowszą powieść *Mapa i terytorium* (2010) autor otrzymał Nagrodę Goncourtów.

# MICHEL HOUELLEBECQ

## mapa i terytorium

Przełożyła  
Beata Geppert

Książka wydana przy wsparciu Centre National du Livre  
francuskiego Ministerstwa Kultury.

Ouvrage publié avec le concours du Ministère français  
chargé de la culture – Centre National du Livre.

Tytuł oryginału: *La carte et le territoire*

Copyright © Flammarion, 2010

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2011

*Świat jest mną znudzony, podobnie jak ja nim.*

Karol Orleański

Jeff Koons\* wstawał z fotela, wyrzucając ramiona do przodu w geście entuzjazmu. Damien Hirst\*\*, siedzący naprzeciw niego na białej skórzanej kanapie, częściowo przykrytej jedwabną narzutą, nieco skurczony, wyglądał, jakby chciał protestować; jego twarz była czerwona i ponura. Obaj mieli na sobie czarne garnitury – Koonsa był w drobne prążki – białe koszule i czarne krawaty. Na niskim stoliku między mężczyznami stał koszyk z owocami w cukrze, na który żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi; Hirst popijał piwo Budweiser Light.

Szerokie okno za nimi wychodziło na ciągnącą się aż po horyzont babilońską płataninę gigantycznych bloków; noc była jasna, powietrze idealnie czyste. Mogliby przebywać w Katarze lub Dubaju; faktycznie pokój był urządzonej na podstawie fotografii reklamowej hotelu Emirates Palace w Abu Zabi, zamieszczonej w luksusowym magazynie niemieckim.

Czoło Jeffa Koonsa lekko lśniło od potu; Jed przetarł je pędzlem i cofnął się o trzy kroki. Z Koonsem bez wątpienia

---

\* Amerykański malarz i rzeźbiarz; ur. 1955 [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

\*\* Angielski artysta awangardowy; ur. 1965.

miął problem. Hirsta było dość łatwo uchwycić, ukazując go jako brutalnego, cynicznego, w rodzaju „mam was w dupie z wyżyn mojej forsy” lub jako zbuntowanego artystę (ale jednak bogatego), wykonującego zaangażowane dzieło na temat śmierci; jego wybitnie angielska, ciężka twarz sangwinika upodabniała go do zapamiętałego kibica Arsenalu. Miał różne oblicza, z których jednak dawało się sporządzić spójny, godny przedstawienia portret typowego brytyjskiego artysty z jego pokolenia. Natomiast w Koonsie była jakaś dwoistość, sprzeczność nie do pogodzenia między zwyczajnym krętactwem przedstawiciela handlowego a egzaltacją ascety. Już od trzech tygodni Jed poprawiał wyraz twarzy Koonsa, wstającego z fotela i wyrzucającego ramiona do przodu w geście entuzjazmu, jakby usiłował do czegoś Hirsta przekonać; zadanie było równie trudne jak namalowanie mormońskiego twórcy pornografii.

Miał zdjęcia Koonsa solo, w towarzystwie Romana Abramowicza, Madonny, Baracka Obamy, Bono, Warrena Buffetta, Billa Gatesa... Żadne z nich nie oddawało jego osobowości, nie wychodziło poza maskę sprzedawcy kabrioletów marki Chevrolet, jaką przybrał wobec świata, co było diabelnie irytujące; zresztą fotografie od dawna już irytowały Jeda, zwłaszcza jeśli były autorstwa wielkich fotografików, z ich pretensjami do przekazywania prawdy o modelach; a przecież niczego nie odkrywali, po prostu stawali na wprost człowieka i naciskali spust migawki, z jękami zachwytu pstrykając setki przypadkowych ujęć, z których później wybierali najmniej kiepskie; tak właśnie postępowali wszyscy tak zwani wielcy



fotograficy; kilku z nich Jed znał osobiście i budzili w nim tylko pogardę; wszystkich bez wyjątku uważał za równie kreatywnych jak automaty do paszportówek.

W kuchni, parę kroków za nim, grzejnik wydał kilka suchych dźwięków. Jed znieruchomiał w osłupieniu. Był piętnasty dzień grudnia.

Rok wcześniej mniej więcej o tej samej porze grzejnik wydał identyczną serię dźwięków, po czym definitywnie zdechł. W ciągu paru godzin temperatura w pracowni spadła do trzech stopni. Jedowi udało się zasnąć, a właściwie przedrzemać rwanym snem do rana. Koło szóstej zużył ostatnie litry ciepłej wody na szybką toaletę, po czym zrobił sobie kawę, czekając na faceta z Robót hydraulicznych – obiecali przysłać kogoś z samego rana.

Na swojej stronie internetowej Roboty hydrauliczne buńczucznie zapowiadały „wprowadzenie instalacji hydraulicznej w trzecie tysiąclecie”.

– Na początek mogłyby dotrzymywać terminów – warknął Jed koło jedenastej, krążąc po pracowni i bezskutecznie próbując się rozgrzać. Właśnie pracował nad płótnem przedstawiającym jego ojca, które miało nosić tytuł *Architekt Jean-Pierre Martin opuszcza dyрекcję swego przedsiębiorstwa*; spadek temperatury nieuchronnie musiał spowolnić schnięcie ostatniej warstwy. Dwa tygodnie wcześniej zgodził się, jak co roku, na kolację z ojcem w wieczór wigilijny i miał nadzieję, że uda mu się do tego czasu skończyć obraz; jeśli hydraulik nie naprawi szybko grzejnika, plan ten mógł spalić na panewce. Prawdę mówiąc, było to bez znaczenia, i tak nie miał zamiaru dawać obrazu ojcu w prezencie,

chciał mu go po prostu pokazać, dlaczego więc nagle zaczął do tej sprawy przywiązywać tak dużą wagę? Był kompletnie wytracony z równowagi, chyba ostatnio za dużo pracował, zaczął malować sześć obrazów równocześnie, od paru miesięcy tyrał bez chwili wytchnienia, co nie było zbyt rozsądne.

Koło trzeciej po południu postanowił jeszcze raz zadzwonić do Robót hydraulicznych, ale numer był bez przerwy zajęty. Udało mu się wreszcie dodzwonić parę minut po piątej; recepcjonistka z działu obsługi klientów tłumaczyła się wyjątkowym nawalem pracy w związku z falą mrozów i obiecała, że ktoś przyjdzie nazajutrz rano, z całą pewnością. Jed odłożył słuchawkę, po czym od razu ją podniósł i zamówił pokój w hotelu Mercure na bulwarze Auguste-Blanqui.

Przez cały następny dzień czekał na kogoś z Robót hydraulicznych, ale również z Hydraulików do usług, do których w międzyczasie udało mu się dodzwonić. Hydraulicy do usług obiecywali przestrzegać reguł „usług rzemieślniczych według najlepszej tradycji”, ale tak samo nie byli w stanie dotrzymać umówionego terminu.

Na namalowanym przez Jeda obrazie ojciec stał na podwyższeniu w otoczeniu kilkudziesięciu pracowników swojej firmy i z bolesciwym uśmiechem wznosił kieliszek. Pożegnalny raut odbywał się w *open space* jego biura projektowego, dużym pomieszczeniu o białych ścianach, trzydzieści metrów na dwadzieścia, do którego światło wpadało przez szklany dach, wypełnionym komputerami architektów i rajzbretami z makietami aktualnie realizowanych projektów. Większość obecnych byli to młodzi ludzie o wyglądzie

nerdów, zapaleńców projektowania w 3D. Trzech architektów koło czterdziestki stało u stóp podwyższenia blisko jego ojca. Podobnie jak na jednym z mniej znanych obrazów Lorenzo Lotto, każdy z nich unikał wzroku dwóch pozostałych, starając się zarazem uchwycić spojrzenie jego ojca; od razu było widać, że każdy ma nadzieję przejąć po nim kierownictwo firmy. Wzrok ojca, utkwiony nieco ponad głowami obecnych, wyrażał serdeczną potrzebę ostatniego zgromadzenia pracowników wokół siebie i spokojną ufność wobec przyszłości, ale przede wszystkim niezmierny smutek. Smutek, że opuszcza firmę, którą założył i której oddał wszystkie swoje siły, smutek wobec tego, co nieuniknione – ewidentnie był już człowiekiem skończonym.

Po południu Jed wielokrotnie, acz bezskutecznie próbował dodzwonić się do Halo hydraulików, u których w oczekiwaniu na połączenie słyszało się radio Skyrock, podczas gdy Hydraulicy do usług preferowali Rires et chansons.

Koło piątej po południu udał się ponownie do hotelu Mercure. Nad bulwarem Auguste-Blanqui zapadał zmierzch, na chodniku bezdomni rozpalili ognisko.

Następne dni minęły Jedowi mniej więcej tak samo: na dzwonieniu do kolejnych zakładów hydraulicznych, słuchaniu kolejnych muzyczek i oczekiwaniu na połączenie w coraz bardziej dotkliwym chłódzie, przy obrazie, który wciąż nie chciał wyschnąć.

W poniedziałek dwudziestego czwartego grudnia pojawiła się perspektywa rozwiązania problemu w postaci chorwackiego rzemieślnika, który mieszkał w pobliżu, przy alei Stephen-Pichon; wracając z hotelu Mercure, Jed

przypadkiem zauważył jego tabliczkę. Facet okazał się wolny, owszem, od zaraz. Był niewysoki, czarnowłosy, miał bladą cerę, delikatne rysy twarzy i nieduży wąsik w stylu belle époque; gdyby nie wąsik, przypominałby nieco Jeda.

Gdy tylko wszedł do mieszkania, zabrał się za oględziny grzejnika – zdjął panel sterowniczy i delikatnymi palcami zaczął obmacywać płataninę rurek. Coś tam mówił przy tym o zaworach i syfonach. Wyglądał na człowieka, który wiele wie o życiu.

Po piętnastu minutach postawił diagnozę: może usunąć usterkę, owszem, może wykonać coś w rodzaju repara-cji, za jakieś pięćdziesiąt euro, nie więcej. Jednak nie będzie to prawdziwa naprawa, tylko taka sobie partanina, która wytrzyma parę miesięcy, w najlepszym razie parę lat, ale żadnej gwarancji na tę robotę dać nie może; ogólnie rzecz biorąc, jego zdaniem ten grzejnik nie ma przed sobą zbyt długiej przyszłości.

Jed westchnął. Trochę się tego spodziewał. Świetnie pamiętał, jak dziewięć lat wcześniej postanowił kupić to mieszkanie; nadal miał przed oczami krępego, promieniejącego zadowoleniem agenta, który zachwalał wyjątkowe światło, choć nie ukrywał konieczności dokonania drobnych „prac odświeżających”. Pomyślał wówczas, że sam powinien być zostać agentem sprzedaży nieruchomości lub ginekologiem.

Krępy agent, który w pierwszych minutach był po prostu życzliwy, popadł w autentyczny trans poetycki, kiedy się dowiedział, że Jed jest artystą. Pierwszy raz w życiu mu się zdarza, wykrzyknął, że pracownię artysty sprzedaje artyście! Przez chwilę Jed obawiał się, iż agent ogłosi solidarność z prawdziwymi artystami przeciw burzujskiej

pseudocyganerii i innym tego rodzaju filistrom, którzy windują ceny, przez co rzeczeni artyści nie mają dostępu do pracowni artysty, ale co ja mogę, nieprawdaż, nie jestem przecież w stanie walczyć z realiami tego świata, to nie moja rola; na szczęście nic takiego nie nastąpiło, krępy agent zadowolił się udzieleniem mu dziesięcioprocentowego rabatu, którego i tak miał zapewne zamiar udzielić po krótkich negocjacjach.

Gwoli jasności, „pracownia artysty” była strychem z dużym oknem – pięknym, to fakt – i kilkoma ciemnymi klitkami, na szczęście wystarczającymi dla kogoś takiego jak Jed, który miał ograniczone potrzeby higieniczne. Natomiast widok był rzeczywiście wspaniały: ponad placem des Alpes ciągnął się aż do bulwaru Vincent-Auriol, do naziemnej linii metra i jeszcze dalej, do kanciastych blokowców z połowy lat siedemdziesiątych, stojących w całkowitej sprzeczności z estetycznym krajobrazem paryskim, który z architektonicznego punktu widzenia Jed przedkładał w Paryżu nad wszystko.

Chorwat wykonał naprawę i zainkasował pięćdziesiąt euro. Nie zaproponował, że wystawi fakturę, zresztą Jed wcale się tego nie spodziewał. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, a znowu zapukał, serią krótkich, suchych stuknięć. Jed uchylił drzwi.

- Byłbym zapomniiał, proszę pana – oświadczył Chorwat.
- Wesołych świąt. Chciałem panu życzyć wesołych świąt.
- Ach tak, faktycznie – odparł Jed, z lekka zażenowany. – Wesołych Świąt, panu również.

W tym momencie zdał sobie sprawę z problemu taksówki. Jak mógł się spodziewać, Okażdejporze sucho odmó-

wiły kursu do Le Raincy, Speedtaxi zgodziły się zawieźć go najwyżej na dworzec, ostatecznie aż do merostwa, ale na pewno nie na osiedle Cykad.

– Kwestia bezpieczeństwa, proszę pana – szepnął pracownik z lekkim wyrzutem.

– Obsługujemy tylko bezpieczne dzielnice, proszę pana – oznajmił dla odmiany recepcjonista Taxi Fernand Garcin zboliałym tonem.

Poczuł się nieco winny, że chce spędzić Wigilię w tak dziwnym miejscu jak osiedle Cykad, i jak co roku naszała go złość na ojca, że z uporem odmawia wyprowadzki z tego mieszczańskiego domu otoczonego rozległym parkiem, który ruchy ludności stopniowo zepchnęły w samo serce coraz bardziej niebezpiecznej okolicy, prawdę mówiąc, od pewnego już czasu kompletnie opanowanej przez gangi.

Najpierw trzeba było wzmocnić kamienne ogrodzenie, potem postawić na nim druty pod napięciem i zainstalować połączony z komisariatem system monitoringu, wszystko po to, żeby jego ojciec mógł samotnie spacerować po dwunastu niemożliwych do ogrzania pokojach, w których nikt nigdy nie bywał z wyjątkiem Jeda przychodzącego raz w roku na Wigilię. Okoliczne sklepy dawno znikły, po sąsiednich ulicach nie sposób było chodzić, nierzadko zdarzały się nawet napady na samochody stojące na czerwonym świetle. Merostwo Le Raincy przyznało ojcu Jeda pomoc społeczną w postaci zgryźliwej, wręcz złośliwej Senegalki imieniem Fatty, która od pierwszego dnia poczuła do niego niechęć, odmawiała zmiany pościeli częściej niż raz w miesiącu i niechybnie okradała go na zakupach.

Temperatura w pomieszczeniu jednak powolutku rosła. Jed zrobił zdjęcie obrazu, żeby cokolwiek móc ojcu pokazać. Zdjął spodnie i sweter, usiadł w slipkach na rzuconym na podłogę wąskim materacu, który mu służył za łóżko, zawiął się w kołdrę. Stopniowo uspokoił oddech. Zwizualizował powolne, leniwe fale o zmierzchu. Próbował wprowadzić umysł w stan spokoju, maksymalnie przygotowując się do kolejnej Wigilii w towarzystwie ojca.

Te ćwiczenia mentalne przyniosły owoce i wieczór okazał się czasem neutralnym, by nie rzec niemal przyjacielskim; Jed od dawna niczego więcej się nie spodziewał.

Nazajutrz koło siódmej rano, przyjąwszy założenie, że gangi również świętują w dniu Bożego Narodzenia, Jed udał się piechotą na dworzec w Le Raincy i bez kłopotów dojechał do Gare de l'Est.